Nr. 28. Lwów, — 1898/9 r. Wydawnictwa Rok XX. Serya zmieniona.

GONIEC i ISKRA.

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów: 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów: 10. ct. w a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i pierwszego dnia każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pisma humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek,** wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23., oraz **bezpłatne premia.** Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach. oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodnie. przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych. albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23-** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztoj wym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. W dnie wychodzenia pism, gdy przypada niedziela, lub święto — numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Od Wydawnictwa.

*Numerami bieżącymi »Gońca i Iskry«, oraz »Wesołego Kurjerka«, zamykamy rok **dwudziesty** naszego wydawnictwa, a następnymi, które wyjdą w swoim czasie, rozpoczniemy **dwudziesty pierwszy.***

Redakcja dołoży wszelkich starań, aby numera obydwóch pism, stanowiących pewną całość, urozmaicać, robić je interesującymi, przyjemnymi i pożytecznymi przedewszystkiem dla rodzin polskich, które poza wielką i małą polityką, pragną umysłowego pokarmu zdrowego, o treści popularnej, pouczającej i przyjemnej.

Szanownych panów prenumeratorów prosimy usilnie, aby zalegające należytości odsełali niezwłocznie i nie zmuszali administracji do upominania się o prenumeratę otwartemi korespondentkami, co, ostatecznie, musi nastąpić. Praca redakcyj pism polskich zasługuje na obywatelskie poparcie, a wyrządzanie wydawnictwom krzywdy, jest bezwarunkowo potępienia godne.

Prenumeratorowie płacący półroczną prenumeratę z góry (4 złr.), otrzymują natychmiast bezpłatnie obszerny kalendarz illustrowany informacyjny na rok 1899 p. t. „Lwowianka“ Wszelkie przesełki adresować należy: Administracja „Gońca i Iskry“ z „Wesołym Kurjerkiem“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego 23.

Pomnik Mickiewicza w Warszawie.

»Adamowi Mickiewiczowi — rodacy« ten skromny, lecz dużo mówiący napis umieszczono na górnej części cokółu pomnika, pod ozdobami alegorycznemi, a niżej na tarczy bronzowej dwie daty: 1798—1898.

Pomnik wysokości czternastu metrów wznosi się na wielkiej, kwadratowej podstawie, szerokości ośmnastu metrów. Wysokość postaci poety wynosi 4 metry 20 centymetrów. Na podstawie wznosi się cokół z granitu włoskiego, w liniach pełnych wdzięku i prostoty. Część dolną strony frontowej pomnika wypełniają alegoryczne ozdoby architektoniczne. Jest tu głowa Apollina, rzucona na snop promieni błyszczących i oparta na lirze, gałązkach palmowych i zwojach papyrusu.

Posąg Mickiewicza wznosi się na górnym cokóle Poeta przedstawiony w płaszczu i w ubiorze właściwej epoki, z głową cokolwiek wzniesioną, z ręką na piersiach, jakby chciał do nas przemówić. Głowa wymodelowana wybornie, wyraz twarzy smutny i poważny. Posąg uderza prostotą i naturalnością, a całość pomnika, który niewątpliwie stał się największą ozdobą Warszawy, robi wrażenie imponujące i zarazem pełne wykwintnego smaku.

Pomnik otacza balustrada, na której czterech rogach stoją płonące amfory, wsparte na łapach niedźwiedzich, pośród zwojów gałęzi dębowych, spowiniętych łodygami chmielu.

Cały plac okala krata przepięknej roboty.

Tak wygląda pomnik, odsłonięty dnia 24. grudnia, a więc w wigilię Bożego Narodzenia — owoc pełnej poświęcenia i pracy komitetu budowy, któremu słusznie ze wszech stron głoszą słowa uznania. Odsłonięcie i poświęcenie odbyło się, jak wiadomo ze sprawozdań pism codziennych, bez wszelkich ostentacyj, przy okrążającej asystencji wojska, policji i żandarmów, którzy, można powiedzieć, zajęli niemal, prowokujące stanowisko w obec tłumów ludności pełnej godności, nad którym unosił się szept tam w górę: »Smutno nam Boże!«.

Pomnik zasypano formalnie kwiatami.

Z rodziny Mickiewicza byli obecni przy odsłonięciu pomnika: córka pani Gorecka i jej syn dr. Gorecki.

Ks. prałat Jan Siemiec, proboszcz parafji św. Antoniego, w obec ks. arcybiskupa warszawskiego Wincentego Chościak-Popiela, w asystencji księży: Kozłowskiego i Trawińskiego, odmówił po łacinie następującą modlitwę przy poświęceniu pomnika:

»Pobłogosław Wszechmogący Boże i Panie to miejsce, aby w niem tkwiły zdrowie i czystość, i moc, i cnota, i pokora, i dobro, i łagodność, i pełnia praw, i dziękczynienia Bogu Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu — niechaj błogosławieństwo Boże otacza to miejsce i tych, którzy na niem staną teraz i zawsze. Amen«

Gwiazda.

Dziw chyba! Aż lęk ima, o Chryste!
Że w tę noc w szronach białą,
Takie ci idą blaski srebrzyste,
Jakby za lasem dniało.

Juźci że dnieje!... Ot, z chmur powodzi
Po nad tą het! ponową,
Gwiazda Przedwieczna powoli wschodzi
W noc cichą, noc grudniową.

I mówi Gwiazda: Na wysokości
Niech chwała będzie Bogu,
A pokój niechaj w chatach zagości
I miłość stanie w progu.

Juźci że dnieje, gdy w bratniej zgodzie
Łamany chleb dziś błyska
I w onym dworze, i na zagrodzie,
I gdzie ta chata nizka.

Juźci że dnieje, gdy serca społem
Biją w takt w piersi żywo,
Bowiem je spaja spiżowem kołem
Dziś nowych pęt ogniwo.

Juźci że dnieje, gdy światło rośnie
I w oku żarem świeci
I gdy ku Gwieździe patrzą radośnie
Tej ziemi wszystkie dzieci.

O błogosławion ten świt na niebie
I ta od Gwiazdy zorza —
Pokój niech będzie ludziom na glebie,
A Bogu — chwała Boża!

Tragedja miłosna.

Nowella.

Napisał *Ignacy Jastrzębiec.*

(Dokończenie — patrz nr. 27).

Kochankowie rozczulali się wzajemnie i godziny szybko im leciały. Nareszcie na pobliskim zegarze wieżowym, wybiła czwarta.

— Ja tu siedzę — zawołał Henryk, — a tymczasem mam jeszcze zobaczyć się z rotmistrzem Cavrianim, dowódcą naszych kadr. Teraz biegnę, lecz wrócę o szóstej i pójdziemy razem na obiad.

— Nie będę ci mogła służyć.

— Z jakiego powodu?

— Bo przyjdzie mój profesor śpiewu.

— Ty, wykwalifikowana śpiewaczka, potrzebujesz jeszcze nauczyciela.

— Mam próby z nowej opery i on ze mną przechodzi całą partję.

— No! No! Ale mniejsza z tem. Więc kiedyż będę mógł oglądać moją piękną panią.

— Przyjdź o ósmej na czarną kawę, a potem pójdziemy na koncert do Padigliona.

— Niech i tak będzie.

Natura nie odmówiła Henrykowi rozumu. Czuł, że się odgrywa jakaś komedja, w której on nie jest bohaterem, lecz komparsem, ustrojonym w rogi jelenie. Wyczytał to w oczach Łucji i był tak pewnym, że tylko chodziło mu o osobę, która go zastąpiła.

Wyszedł od Łucji z burzą pod czaszką. Głowa wirowała, a do mózgu pędziły myśli szalone. W oczach mu przyświecała krwawa łuna i wszystkie przedmioty błyszczały przed nim czerwono. Snuł straszny plan zemsty i postanowił zabić Łucję, siebie i rywala.

— Jeżeli nie jestem bohaterem romansu, będę nim w tragedji — mówił do siebie, pędząc prędko przez ulice Medjolanu. — Zadrwiła ze mnie, lecz ciężko mi za to zapłaci.

Po chwili, przychodziło inne rozumowanie:

— A jeżeli ona jest niewinna. I to być może. Nie mam jeszcze żadnych danych. Przedewszystkiem muszę sprawdzić. Nie chcę się bowiem narazić na śmieszność, jak mi się przytrafiło w Como, z tym przeklętym włochem. Tak, w pierwszej linji dowody. Mam kilka dni czasu, a te wystarczą.

Udał się do rotmistrza Cavrianiego, następnie na obiad. Około ósmej wieczorem zjawił się u Łucji. Wkrótce obydwoje znaleźli się w Padiglionie. Ogród był przepełniony publicznością. Wśród niej pojawiły się dość licznie czerwone koszule. Spotkał kilku kolegów z pułku. Ci serdecznie się z nim witali i zapowiedzieli mu przyjazd majora Kawki.

Udawał wesołego i grał wybornie komedję. Łucja była także wesoła. Obydwoje siedli przy stoliku i zachwycali się wyborną orkiestrą.

— Pamiętasz mój drogi, pierwszą chwilę naszego poznania. Gdym cię zobaczyła, pomyślałam sobie, że ty musisz należeć do mnie.

— Ja, również marzyłem o tobie.

— Dziwnie się dzieje na tym świecie. Ty polak, ja włoszka. Urodziliśmy się w dwóch przeciwnych stronach Europy i serca nasze złączyły się pod palącem niebem Italji.

— Prawda — odrzekł Henryk roztargniony. W tej chwili uwagę jego zwrócił jakiś włoch, przypatrujący się Łucji. Zdawałomu się, że to hrabia Trevisani. Szybko wstał od stolika i pobiegł w stronę swego domniemanego wroga. Nikogo już nie zastał i powrócił na miejsce.

— Cóż znaczy ta twoja nagła ucieczka? — zapytała Łucja.

— Sądziłem, że to mój kolega i chciałem się z nim rozmówić w pewnym interesie.

— Czy tak?

— Z pewnością,

Na zakończenie koncertu, muzyka zagrała marsz Garibaldiego. Wszyscy powstali z miejsc i stojąco go wysłuchali. Rozległy się gromkie okrzyki na cześć ojczyzny, króla i Garibaldiego. Pobici włosi nie tracili humoru, bo ich przyjaciele prusacy odnieśli cały szereg walnych zwycięstw i byli spokojni o całość kraju, a nawet mieli nadzieję zyskania jeszcze Wenecji. Dobrze poinformowane dzienniki zaczęły już o tem przebąkiwać, a organy urzędowe wcale nie zaprzeczały tej wiadomości.

— Późno już — rzekła Łucja. — Moglibyśmy pójść do domu.

— Jeżeli sobie życzysz...

Wyszli. Henryk wsadził Łucję do powozu i odwiózł do mieszkania.

— Nie wstąpisz na chwilę?

— Nie mogę. Mam się spotkać z kolegami.

— Przyjdź jutro na śniadanie.

— Dobrze.

Pożegnali się i Henryk kazał jechać do restauracji Biffa, w galerji Wiktora Emanuela.

Tam zobaczył kilku oficerów ze swojego pułku. Wesoło gwarzyli przy kieliszkach. Wiedzieli, że wojna skończona i chociaż nie zdobyli laurów, ale wynieśli z kampanji życie i całe kości. Zawsze to coś warte.

Usiadł z nimi i przegawędził do późnej nocy. Wyszedł nareszcie i udał się pod okna Łucji. Ciemno tam było, ale Henryk postanowił czekać, gdyż sądził, że zobaczy kogoś wchodzącego, lub wychodzącego. Nadzieja jednak okazała się płonną. Uszczęśliwiony, że jego podejrzenia okazały się bez podstawy, wrócił do hotelu. Rano poszedł do Łucji. Zapytał, czy dobrze spała?

— Roiłam cudowne sny. Marzyłam, że byliśmy w Como.

— Sny mogą się sprawdzić bardzo łatwo. Jeżeli tylko masz czas wolny, pojedziemy tam na kilka dni.

— Niestety! rzecz niemożebna. Jestem zaangażowana na trzy miesiące.

— Nie ma więc o czem mówić.

Rozmowa szła w tonie ospałym. Łucja była niespokojna i ciągle spoglądała na zegar. Zwróciło to uwagę Henryka.

— Widzę, że kogoś oczekujesz.

— Tak jest. Ma przybyć profesor śpiewu.

— Więc nie przeszkadzam i odchodzę.

— Po południu jestem wolną i myślę, że spędzimy resztę dnia ze sobą.

— Prawdopodobnie, jeżeli nie zajdzie mnie jaki ważny interes.

Pożegnał się i wyszedł.

— Teraz ją mam — bąknął do siebie Henryk. — Poznam mego rywala.

Na rogu ulicy zajął stanowisko wyczekujące. Patrzył, obserwował, ale nikogo nie zobaczył. Wreszcie, około drugiej po południu, ujrzał mężczyznę, zdążającego w stronę *via di San Carlo*. Zdało mu się, iż go gdzieś widział. I nie omylił się — to był hrabia Ottawio Trevisani. Zbliżał się on wolnym krokiem do domu Łucji i oglądał się na wszystkie strony. Henryk wychylił się ze swego ukrycia. Włoch go spostrzegł i w jednej chwili zniknął w bramie drugiego domu.

— Do stu tysięcy szatanów! więc nie omyliłem się — zawołał Henryk ze wściekłością. — Teraz mi się nie wymkną. Będą ostrożniejsi, lecz i ja dołożę starań i złapię ich razem. Biada im! biada! i stokroć razy biada. Poznacie, że płynie we mnie krew gorąca.

W podobny sposób monologował na ulicy. Mówił tak głośno, iż ludzie zaczęli zwracać na niego uwagę. Odszedł i udał się na plac katedralny. Idąc z głową spuszczoną i zatopiony w posępnych myślach, natknął się na dążącego oficera ze strony przeciwnej.

— Czyś ślepy, kochany Henryku, że nie widzisz najlepszych przyjaciół — przemówił głos dobrze mu znany. Spojrzał i zobaczył przed sobą majora Kawkę.

— Koledzy mi mówili, że masz przyjechać. Cóż słychać w pułku?

— Nic nowego. Będziemy mieli pokój i przywdziejemy napowrót ubrania cywilne.

— To i lepiej.

— Cóż myślisz robić po wojnie?

— Nie wiem.

— Może pojedziesz do Galicji. Wielu z naszych tam się wybiera.

— Nie wiem.

— Co do mnie, niech tylko się uspokoi, wyruszam w podróż do Krakowa. Chcę spocząć na ziemi rodzinnej.

— Dobrze robisz.

Lakoniczne odpowiedzi zdziwiły Kawkę. Przyjrzał się bacznie Henrykowi i wykrzyknął:

— Chłopcze! na Boga co ci jest. Wyglądasz, jak z krzyża zdjęty. Blady, oczy zapadłe, ręce ci drżą.

— Zupełnie czuję się zdrów.

— Opowiedz mi twoje przykrości.

— Nie mam żadnych.

— Ty coś kryjesz przedemną. Czy cię przypadkiem Łucja nie zdradziła?

Henryk zachwiał się i o mało nie upadł.

— To coś poważniejszego. Chodź ze mną i wyspowiadaj się. Przedewszystkiem to ci ulży, a może i znajdziemy radę. Tylko odwagi i trzymać się ostro.

Kawka wziął go pod ramię i zaprowadził do ogrodu pobliskiego. Usiedli obydwaj na ławce.

— Teraz otwórz swe serce i nic nie ukrywaj.

Henryk opowiedział mu historję z włochem w Como, a następnie scenę dzisiejszą, gdy się tenże zakradał do mieszkania Łucji.

— Furda, bracie. Śmiej się z tego. Byłeś tak naiwny, że wierzyłeś w stałość włoszki. Takiej dotąd nie znałem. Dalej, na przód, głowa do góry i marsz na obiad. Jeść mi się porządnie chce, a twoja historja jeszcze bardziej podziałała na apetyt. Straciłeś jedną, będziesz miał dziesięć na jej miejsce. Jeżeli jeszcze raz wspomnisz mi o tej komedjantce, wsadzę cię na odwach. Tam kilka dni pomedytujesz i wyjdziesz zupełnie uleczony.

Słowa Kawki orzeźwiły trochę nieszczęśliwego kochanka. Poszedł razem ze swoim przyjacielem do restauracji i przypatrywał się Kawce, pałaszającemu jedną potrawę za drugą. Sam nic nie jadł i tylko pił.

Miał iść do Łucji, lecz nie poszedł i wieczór spędził z Kawką. Za powrotem do hotelu zastał od niej list. W nim wyrzucała mu, że czekała napróżno i zaprasza, aby ją odwiedził w ciągu dnia. List był suchy, bez żadnych czułości, pisany li tylko z obowiązku.

Cały następny dzień nie pokazał się u niej. Chwilami medytował o zemście, z drugiej zaś strony nawet nie miał wielkiej pewności, czy jest zdradzony, lub nie? Bił się z myślsmi przez długie godziny i nareszcie usnął. Gdy się obudził, słońce już było wysoko. Służący zameldował mu, że jakaś pani chce się z nim widzieć i czeka na niego w salonie. Zeszedł i zobaczył Łucję.

— Powiedz mi mój kochany — rzekła do niego — co znaczy twoje postępowanie? Przyjechałeś niby to dla mnie, tymczasem nie widzę cię całemi dniami.

— Nie chcę być natrętnym i innym zabierać miejsce.

— Komu?

— Naprzykład hrabiemu Oktawjuszowi Trevisani.

Łucja pobladła, lecz z najzimniejszą krwią odpowiedziała.

— Nie znam go i podobne nazwisko pierwszy raz obija się o moje uszy.

— Dajesz mi na to słowo.

— Nie jedno, ale sto tysięcy.

— Muszę ci wierzyć, bo nie mam w ręku dowodów.

— Dzieciak z ciebie. Gdybymcię chciała zdradzić, nie robiłabym z tobę żadnych ceremonij. Otwarciebym ci oświadczyła, że zrywam z tobą wszelkie stosunki.

— Czy tak! I ty myślisz, iż jabym to przyjął z rezygnacją. Moja droga! nie znasz mnie jeszcze. Gdyby to było prawdą, pomściłbym się krwawo.

— Dobre w powieści, ale nie w życiu praktycznem.

— Radzę ci nie igrać z ogniem.

— Mówmy o czem innem. Drażnis mnie tylko swemi złowieszczemi przepowiedniami. Zamiast odgrywać rolę Otella, odprowadź mnie lepiej do teatru. Poczekasz chwilkę, załatwię się z interesem i potem możemy pójść na spacer. Jest tak pięknie że szkoda siedzieć w domu.

Posłuchał bezwiednie. Łucja była nadzwyczaj czułą, przemawiała słodko i sentymentalnie. Lodowa powłoka okrywająca serce Henryka, zaczęła powoli topnieć i wreszcie nastąpiła zgoda. Podał jej ramię i w najzupełniejszej harmonji powrócili do miasta.

* * *

Nazajutrz Henryk odjeżdżał już do pułku. Mimo pewności pokoju, polecono mu odprowadzić oddział świeżych ochotników. Widocznie rząd nie dowierzał jeszcze Austrji. Miał odjechać po południu i pożegnał się nawet z Łucją. Tymczasem dowódca kadr, rotmistrz Cavriani, kazał mu się zatrzymać do nocnego pociągu, gdyż nie wszyscy ochotnicy stawili się do apelu. Wieczorem zaszedł do restauracji. Sala była przepełniona i chciał odejść, ale kelner oświadczył mu, że jeden gabinet jest wolny. Kazał podać przekąskę i czekał godziny jedenastej, aby udać się na kolej. Ponieważ pełnił już służbę, oprócz pałasza,

miał przy boku rewolwer i ładownicę przewieszoną przez ramię,

Siedział z pół godziny. Puścił wodze swoim myślom i nawet nie słyszał, że do sąsiedniego gabinetu weszła jakaś para.

Nagle uderzył go znajomy dźwięk głosu. Wstrząsł się gwałtownie, gdyż najwyraźniej posłyszał Łucję rozmawiającą wesoło. Towarzysz jej wybuchł głośnym śmiechem. Henryk nigdy się nie spodziewał, aby jego osoba służyła za przedmiot żartów i pośmiewiska.

— Więc ten twój platoniczny kochanek, opuścił dziś Medjolan.

— Z wszelką pewnością, Wyjechał o godzinie trzeciej po południu.

— Serjo?

— Ręczę.

— Przyznam ci się otwarcie, droga Łucjo, że miałaś dziwny gust, wybierając sobie tego polaka. Brzydki, twarz idjotyczna, przytem pewno goły, jak każdy emigranta, wierzaj mi, byłaś warta lepszego losu.

— Więc ty mnie posądzasz, że ja się w nim kochałam?

— Ma się rozumieć. Widziałem was obydwoje w Como. Na twarzy jego malowało się zawsze szczęście bezgraniczne, a ty miałaś minę bardzo zadowolonej turkawki.

— Mylisz się. Nie wiedziałam, co zrobić z dwoma miesiącami letnimi i zgodziłam się na ową wycieczkę. Zresztą, między nami istniał tylko stosunek przyjacielski. Co prawda marzyłam o ślubie. Chłopiec podobno bogaty, szlachcic Cóż więc dziwnego, jeżeli myślałam o ustaleniu swego losu.

— Więc byłabyś mnie poświęciła.

— Prawdopodobnie. Jednakże rozmyśliłam się, bo ciebie kocham całą potęgą serca.

Henryk posłyszawszy te słowa, zerwał się gwałtownie i pochwycił za rewolwer. Chciał biedz do drzwi, lecz się powstrzymał i usiadł. Twarz jego była bladą, zęby szczękały i trząsł się na całem ciele. W głowie wrzało i literalnie odchodził od przytomności.

Łucja dalej szczebiotała i wdzięczyła się do swego towarzysza.

— Wierzaj mi — mówiła. — Ja nie uganiam się za pieniadzmi. Życie spokojne z obopólną miłością, to wszystko, czego wymagam. Ty jesteś dla mnie wymarzonym ideałem miłości. Kocham cię i ubóstwiam.

— Aniele mój!

— Skarbie najdroższy!

Rozległ się głośny pocałunek.

Henryk, jakby wyrzucony iskrą elektryczną, znalazł się nagle w gabinecie, gdzie Łucja ucztowała.

Pojawienie się jego, było uderzeniem piorunu. Łucja i hrabia Trevisani oniemieli z przerażenia.

Henryk z rewolwerem zbliżył się powoli do stołu. Nic nie mówił, ale wyglądał strasznie. Kilka sekund zapanowało milczenie grobowe.

— Nikczemna? — rzekł. Zażartowałaś z najświętszych uczuć. Rzuciłaś mnie dla innego, lecz nadeszła twoja ostatnia godzina.

Trevisani chciał się rzucić na niego, lecz padły dwa strzały, a następnie trzeci.

Niefortunny kochanek Łucji, upadł martwy nz ziemię, bo kula przeszyła mu serce. Henryk potoczył się i runął, a mózg z rozbitej czaszki, rozprysł się na wszystkie strony.

Łucja jednak ocalała. Kula dotknęła się tylko włosów i uwięzła w murze. Zemdlona osunęła się na krzesło.

* *

Na trzeci dzień odbył się pogrzeb mordercy i ofiary. Przed trumną Henryka postępowała orkiestra wojskowa i oddział kawalerji. Za nią liczny zastęp oficerów, masa publiczności i... Łucja w grubej żałobie.

Nic to nie przeszkadzało, że wieczorem Łucja śpiewała w teatrze. Głos jej dźwięczny i rzewny wzbudził entuzjazm w słuchaczach i nigdy nie spotkały jej podobnie szalone owacje.

Biedny major Kawka, codziennie odwiedzał grób swego młodego przyjaciela. Modlił się gorąco i płakał. Wkrótce i on przeniósł się do innego świata. W testamencie zastrzegł sobie, aby go pochowano obok Henryka i cały swój kapitał, oszczędzony podczas emigracji, a wynoszący kilka tysięcy franków, zapisał na szpital polski św. Kazimierza w Paryżu.

Tak się zakończyła tragedja miłosna.

KONIEC.

Prywatne wojsko w Ameryce.

W żadnym kraju nie istnieje prywatna siła zbrojna, którą mógłby sobie osobnik jakiś, lub kompania przemysłowa nająć dla swoich prywatnych interesów. O co się jednak nie pokusił świat stary za oceanem, na to zdobyła się Ameryka, przynajmniej Stany Zjednoczone. Istnieją tu agentury, których zadaniem jest dostarczać uzbrojonych ludzi za pewną opłatą pieniężną; są to tak zwani »pinkertońscy dektywi«, czyli »pinkertończycy«.

Gdy wybuchł olbrzymi strejk w fabrykach Carnegie'go w Pittsburgu, sprowadził sobie ten milionowy pan owo prywatne wojsko, za które płacił ich właścicielowi pewną sumę pieniężną za każdy dzień »służby«. Pinkertkończycy pełnili tę samą czynność, co zwyczajne wojsko: a więc obstawiali fabryki, aby do nich nie dopuścić strejkierów; pilnowali »skarbów«, gdy ci szli do roboty; wreszcie strzelali i mordowali tych robotników, którzy przeszkadzali sprowadzaniu »skabów« z innych miejscowości. Historya strejku w zakładach Carnegie'go zwracała uwagę prawodawców na bezprawne istnienia prywatnych żołnierzy; przeszły nawet w niektórych Stanach uchwały, zakazujące zakładania oddziałów pinkertońskich, ale ponieważ wielcy fabrykanci i przemysłowcy mają w swych rękach władze wykonawcze, więc też po dziś dzień udaje się niektórym możnowładcom przemysłowym, korzystać jeszcze z prywatnych żołnierzy.

Kompania węglowa w Pana Virden zagrożona strajkiem górników, sprowadziła sobie z Chicago oddział takich prywatnych uzbrojonych policjantów, awanturników z różnych Stanów i obstawiła nimi zabudowania swe i chaty, w których umieszczono sprowadzonych z południa murzynów, dla zastąpienia strejkujących górników.

Gdy niedawno przybył nowy pociąg murzynów do Virden, był on także strzeżony przez pinkertonów, a nawet dali oni pierwsi ognia do zgromadzonych białych górników i rozpoczęli tę rzeź, w której poległo 14 osób i 20 zostało rannych, przyczem najwięcej zabitych i rannych było pomiędzy białymi górnikami.

Po rzezi we Virden, zapewne znowu zostanie sprawa prywatnych żołnierzy poruszoną, bo istnienie takiej instytucyi w cywilizowanem państwie grozi smutnemi bardzo następstwami. Tu każdy wielki zakład przemysłowy mógłby sobie nająć pinkertonów i przelewać krew obywateli, gdy ci upominają się o trochę większy kawałek chleba dla siebie i swych rodzin za długą i ciężką pracę.

Dziad

Obrazek z lat niedawnych

I.

Była noc Bożego Narodzen.a. Przeraźliwy wicher jęczał po skostniałych gałęziach boru i miotał tumanami śniegu, zawalając drogi i ścieżki. To wrył się śnieżną piersią w srebrzysty nasyp i wydarłszy go z piaskiem, podrzucał w kłębach pod czarno ołowiane chmury, to z dziwnym szelestem wodził go po gałęziach, w malutkie rozsypując płatki. Skostniałe drzewa, obdarte z liści stały samotnie, jak grupy zamarzłych trupów i chyliły się na strony, słuchając dzikich stękań wichrów. Cała natura burzyła się i w szalonych rzucała podskokach. Głucha ciemność i białe kłęby lotnych śniegów, świst wichrów i głuchy łoskot uginających się gałęzi, w czarowny a straszny mieszały się chaos; wicher z północy lodowatą gonił go piersią, chłodnymi ramionami podrzucał i jak trąbą skręcał i okręcał.

Wśród zamieci, jakiś dziad się kopie. Wiatr zrzucił mu kaptur i rozczepił w kudłach spływające włosy; na strzępach rzęsów obwisły białe płaty śniegu. Twarz straszna, żółta, zmarszczkami ściągnięta, oko wściekłe i rozżalone, jak wzrok zażartej furji, co od wieków krew zemsty pije. Ręce wprzód wyciągnął, jakby chciał walczyć z wściekłym huraganem; znać życia mu mało, chciałby jeszcze walczyć ze śmiercią, jeszcze chwilę błyskać i przerażać okiem.

Nagle stanął i strętwiał... jak trup, gdy w szaleństwie skona. Wzniósł ręce do góry i westchnął ciężko... żałośnie... obłąkanymi oczyma, jak próchnem po nocy zaświecił, i trząsł się, i drżał z żalu, co go dręczył.

Ocknął się wreszcie, okiem radości strzelił i wściekły rzucił się naprzód.

II.

Obfity ogień buchał na kominku w samotnej chatce leśnika. Płomień chwiał się od wichru na strony i rzucał to jaskrawsze, to bledsze światło po białych ścianach izdebki. Trzy postacie, jak w rzeźbie skamieniałe, obrazy smutku, lub rozpaczy, ułożyły się po kątach i zdają się zdrętwiałe.

Na ławie, przy ciosanym stole usiadł stary litwin i duma, ukrywszy w dłoniach oblicze. Czasem oko podniesie, w kąt spojrzy, łzę z żółkłych liców ukradkiem obetrze i w dawne powraca dumania.

U progu dziad jakiś stoi; na brudnym łachmanie świeży śnieg w wodę się rozlewa i w kroplach na ziemię spływa. Długi włos rozgarnął na strony i brwi w dumie namarszczył, jakby w tajnikach przeszłości tajemnice ubiegłych lat chciał odgrzebać. Słowa z płaczem się biją, łza ciśnie się do oka, a w piersi wrą gwałtowne uczucia. Błędnym wzrokiem, to bezmyślnie dokoła wodzi, to zatapia w leżącą na tapczanie w rogu dziewczynę. Krucze włosy na jej głowie splątały się w kudły i twarz bladą przysłoniły. Za brudu pokrywą i śladami srogich cierpień skryła się młodzieńcza piękność i jeszcze z niewygasłych oczu wygląda dziecięcą niewinnością. Po liców rysach i odzieży znać, że w podróży, lub ucieczcze zbłąkała się w lesie; jeszcze osłabienie widać w bladej twarzy i niebieskiem oku.

Właśnie dziad ocknął się z omdlenia i tak dalej ciągnął:

— Początek walki był świetny. Nadzieja, jak jutrzenka na wschodzie, zajaśniała na ciemnem tle prześladowań i ucisków. Bitwy godami nam były, bo każdy stokroć wolał wolną pierś nastawić wrogom i na ich bezsilność patrzyć z uśmiechem piekła, niż zwolna konać w torturach rozpaczy, lub omdleć w lodach północy. Dla mnie krew weselem była, a śmierć, której w oczy tak z bliska patrzyłem igraszką. Jak każda szczęścia chwila, burzę smutków wiekowych ukoić potrafi tak dla mnie, taka jedna chwila krwi i zemsty, balsumem na przeszłość była, chłodem na nienawiść. Och! z jakiemto szczęściem na ich krew patrzyłem, z jaką rozkoszą słuchałem ich jęków...

Tu coraz zapalał się i w dziwny szał wpadał. Oko mu łyskać zaczęło, wargi zacią, brwi nasrożył, a rękoma konwulsyjnie rzucał na strony, mrucząc chwilę jeszcze niezrozumiałe jakieś wyrazy.

— O tak, początek był świetny, ale koniec.., koniec... — i znów przestał mówić, bo boleść słowa mu dławiła.

— Zima się zbliżała. Śnieg osrebrzył ziemię, a wicher raz ostatni gwizdał nad głowami naszymi dziką nutę litewskiej piosnki; w kłęby śniegu nas otaczał i owijał, jakby już pędził do swego lodowatego państwa na Sybir. Pamiętam, noc była straszna. Wicher jak dziś rwał się po gałęziach boru i wściekle miotał tumanami śniegu. Pod wiekowym dębem, w podartych płaszczach, bez czapek i obuwia, siedziało nas kilkunastu; ściśnieni jak bydlęta, ramionami się splótłszy, płakaliśmy nad zgubioną wolnością. Łzy marzły na obliczu i paliły jak węgle, a oczy lśniły się żarem szału i wytrwałości. Zimny wicher północy, nie zdołał zdmuchać świętego ognia zapału. Chwila była cudowną. Rozszalała przyroda, z pogardą rzucała garstką bezsilnych, a my, spleceni w ostatnim ziemskim uścisku, czu-

liśmy szczęście w strasznych godzinach konania...

Nagle, wśród drzew, szablice błysnęły i zaszarzały kapoty moskiewskiej konnicy... Próżna walka... daremne szczęścia nadzieje. Blask, co nam zgon wspólny zwiastował, znikł jak ognik nad bagnem; raz jeszcze ogień wściekłości za żarzył się na chwilę... i zgasł... — I sam okiem, jak pochodnią zaświecił, wnet je zamknął i omdlałe opuścił ręce...

— Nadeszła wiosna, lecz już nigdy jej zieleni, jej czystego nieba obaczyć nie miałem. Lody Sybiru mieszkaniem mi zostały, a wichry i śniegi, to moi towarzysze ostatni. Dziś wracam do miłej ojczyzny,.. lecz już chyba na to, by skostnieć... pośród tych mrozów...

Pięciu nas było w jednej samotnej chatce, lecz dziś ja sam tylko pozostałem, bym cierpiał jeszcze i płakał ich na zawsze. Ostatniego przyjaciela jeszcze śmierć pamiętam, zimną i lodowatą. Mroźnym rankiem uklękliśmy na kamieniu, by się pokrzepić gorącymi łzami modlitwy. Ja skończyłem i wstałem, lecz on zasnął na wieki. Adamie! Adamie... jęczałem wściekły, szalony z ust pianę toczyłem, lecz gdybym cały szał rozpaczy, cały boleści żar wlał w niego, już bym go nie wskrzesił... nie przebudził...; skostniał... skostniał i stał się jak kamień. Chwyciłem trupa i do jamy go wniósłszy, zawaliłem strasznym grobowym kamieniem. Odtąd sam pozostałem. Sam jeden byłem na szerokim świecie. Wszyscy mię odbiegli; nawet wilki i niedźwiedzie, co dawniej tak często zaglądały do zbrudzonych okienek naszych, zdały się uciekać odemnie... Czy się lękały zbiedzonej mojej twarzy?

Często, podczas okropnych nocy zimowych, szalony wypadałem na dwór, słuchałem grania wichrów i błądzącymi oczyma szukałem towarzyszy młodości. Cały tłok bitwy widziałem na pustem polu. I naszą jazdę, jazdę lekką z mieczami w dłoniach, z blaskiem w oku, w rozpuszczonych na wiatr płaszczach. Warczały lance w powietrzu, dźwięczały szablice, z głuchym jękiem tłoczyli się wrogowie i upadali bezładnie. I mnie porywał szał. Ślepo ku rzędom drzew goniłem i pień rękoma objąwszy, jak szalony się rzucałem, korę darłem zębami i wyłem jak szakal ze złości. O straszne, straszne były te lata niewoli. Na ich spisanie jabym słów nie miał, wam by uczuć brakło...

Och, ile tam wycierpiałem... Boże, ty jeden wiesz o tem...

Skończył, gwałtownie upadł na kolana i ręce wzniósł do góry... jeno Pan na niebiosach zdołał prośbę z oczu jego wyczytać, pojąć boleść i rozpacz. Długo patrzył błagalnym wzrokiem, nagle skrył lica w dłoniach i począł szlochać jak dziecię. Starzec jeszcze płakać umiał, jeszcze łza rozżalenia nie zaschła za twardą powieką. Biada ciemięzcom, jeżeli to łzy niewinne, jeżeli starzec do tylu cierpień przywykły, boleści w wnętrzu zasklepić nie może.

— Dziś po latach kilkunastu — mówił dalej łzy ocierając — wiekiem i cierpieniem zgnębiony, przybywam w rodzinną stronę i błagam was litości... schronienia przed burzą. Niegdyś i ja dom i rodzinę miałem i córkę malutką, szczęście moje... Teraz stary powracam do ojczystych borów i nie wiem, w której stronie mój dom rodzinny, mój las... gdzie dziecię... moje... O ona pewnie szczęśliwa... Marylło moja... obyś nigdy nie wiedziała, że ojciec twój, jak dziad skonał blisko ciebie, w biednej ojczyźnie...

Szałem porwany domawiał ostatnich słów, ręce wzniósł do góry i obłąkanym wzrokiem wodził dokoła. I wnet mienić się począł, gdyby jasność kryształu. Różne uczucia, jak błyskawice przelatywały po licach jego, z nagła mieszając obrazy. Raz uśmiech nieba, co nadzieją ciemności rozświeca, to zemsta i wściekłość piekła, gdy zagra na spiekłej twarzy zbrodniarza, lub żal i rozpacz czyśca, gdy w godzinę śmierci przeraża trupa. Ręce, gdyby skamieniałe w ostatnim ziemskim uścisku, drżą jeszcze nad wspomnieniem, co go tak udręczyło.

...Stoi, jak posąg kamienny nad grobem.

III.

Wtedy dziewczyna podniosła się z łoża i zeschłe wyciągnęła ramiona. Chciała coś mówić, tylko jęknęła, a łza zsunęła się z powiek i spłynęła po bladej twarzy. Opadła na łoże... łza to ostatnia... lecz łza szczęścia i radości po tylu klęskach... cierpieniach. Porwał się dziad z kąta i zawył straszliwie. Chwycił córkę w ramiona i drżał, i trząsł się, i jęczał, jakby chciał ducha obudzić w trupie... i długo w nią patrzył obłąkanym wzrokiem. Wreszcie skoczył, drzwi rozwarł, wypadł jak szalony i znikł wśród zamieci.

Darmo litwin szuka za nim błądzącymi oczyma; znikł bez śladu... na zawsze...

Leśnik otarł łzę żalu i powrócił do chaty.

W dni kilka odgrzebano wśród śniegu dwa zmarzłe trupy. Stary dziad klęczał nad skostniałą dziewczyną.

* * *

Dziewica była córką litewskiego wygnańca. Lata po powstaniu mijały, ojciec znikł bez śladu, bez wieści. Krewni się zjechali, lecz srogą była opieka nad Maryllą. Nagle w głowie ogołoconej z reszty ojcowskiego mienia, młodziuchnej sieroty, powstała dzika myśl pójść za ojcem i odszukać go w lodowatej Syberji. Zbiedzoną, prawie umierającą, zapędził las do chatki leśnika, w której dziwnym zbiegiem zastał ją powracający ojciec. Córka poznała go, jednak ta chwila szczęścia, była też i ostatnią.

Ciekawe rzeczy.

Zbytek dawniejszy i dzisiejszy. Pod koniec siedemnastego wieku we Francji, kto chciał należeć do »świata«, musiał mieć konie podkute srebrnemi podkowami; wielu kazało nawet koła u ekwipaży obciągnąć srebrnemi obręczami. Wówczas była moda noszenia u ubrań kosztownych guzików. Ludwik XIV nosił przy kamizelce guziki wartości 30 000 franków. Podobne guziki nosił król polski August Mocny. Guziki te z brylantów czystej wody, nadzwyczajnej wielkości i zadziwiająco pieknie szlifowane, znajdują się w Dreźnie, wraz z innemi po tym królu pamiątkami. W owych czasach, nie było niczem osobliwem na zamkach wielkich panów, mieć zamki u drzwi i klamki z drogich metalów, nawet ze złota. Wszystko to jednak prześcignął zbytek dzisiejszy amerykańskich bogaczy. Jan Gould kupił dla swej córki, hrabiny Castellane, koronę z brylantów, należącą niegdyś do byłej cesarzowej Eugenii. Syn Jan Goulda kupił sobie wspaniały yacht, urządzony z przepychem — pływający pałac. Za wachlarz, zdobny malowidłami pendzla jednego ze znakomitszych malarzy amarykańskich, a przeznaczony dla swej faworyty, zapłacił 80.000 dolarów.

Jak długo rosną konie? Wedle dokładnych pomiarów wykonanych przez Amona na źrebiętach i młodych koniach stadniny w Trakenach, wzrost koni powiększa się:

w roku pierwszym o . . .	15 cali
„ drugim . . .	5 „
„ trzecim . . .	3 „
„ czwartym . . .	$1\frac{1}{2}$ „
„ piątym . . .	$\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$.

Okazało się zatem, że w roku czwartym i piątym konie mogą jeszcze wcale znacznie powiększać swój wzrost.

Wpływ temperatury na tworzenie się płci. Statystyka uczy, ze w letnich miesiącach rodzi się więcej dzieci płci żeńskiej, niż męskiej, znaną też jest rzeczą, że w krajach gorących, rodzi się więcej dziewcząt, niż chłopców, a na północy przeciwnie. Schlechter skonstatował u koni stosunek podobny. Siebald wyhodował zapłodnione jajka robaków (Nematus ventricosus) w sztucznej wylęgarni i przekonał się, że jajka hodowane w cieple, wydawały zawsze większą liczbę osobników żeńskich, hodowane zaś w chłodzie, wydawały zawsze więcej samców. I na powstawanie płci u roślin zdaje się mieć temperatura wpływ pewien. Knight robił doświadczenia z dynią — i wyniki były odwrotne, mianowicie dynia hodowana w ciepłej szklarni, wydawała same tylko męskie, pręcikowe kwiaty,- podczas gdy rosnąca na wolnem powietrzu, wydaje jak wiadomo, kwiaty jedne i drugie. Doświadczenia Marin-Mouillarda ze szczyrem (Mercurialis annua) i konopiami okazują inne wyniki. Obie rośliny wymienione są dwudomowe, tj. jedne osobniki mają tylko kwiaty żeńskie, inne męskie. Otóż przy zwykłej hodowli konopi z nasion, zawsze mniej więcej jednaka ilość wyrasta płoskonek jak główek. Gdy jednakże konopie rosły w warunkach nieprzyjaznych dla wegetacji, mianowicie w ciasnych wazonach i w cieple, wtedy z tego samego nasienia wyrosło zawsze więcej roślin żeńskich U szczyru, który kiełkował i rozwijał się w ciepłocie średniej + 12C, wykształcało się zawsze mniej żeńskich roślin, niż wtedy, gdy rozwój odbywał się przy 18^0 C. ciepła średnio.

Policja olbrzymów. W żadnem chyba mieście na świecie, nie jest policja tak wspaniale reprezentowana, jak w Nowym Yorku. Wśród personalu tej tak potrzebnej instytucji znajduje się około 400 olbrzymów, którzy ogromem swoim ocieniają każde stworzenie ludzkie, do nich się zbliżające. Żaden z nich nie mierzy mniej nad 6 stóp, a należący do tak zwanych »Broadway-Detachement«, są jeszcze ogromniejsi. Przeciętna wysokość tych olbrzymów (a jest ich 90), którzy strzegą ujście nowo-yorskiego ruchu na Brodaway — wynosi 6 stóp i 4 cale. Jak wśród łańcucha gór wznoszą się gdzieniegdzie szczyty strzelające w niebo, tak i wśród tego zastępu Goliatów, wyróżniają się ogromem swoim dwaj policjanci Taggart i Graham. Wieżowate ich postacie widne są na całą odległość Broadway, a ogromy ich są następujące: Graham mierzy 6 stóp i 6 i pół cala, a waży 250 funtów, Taggart zaś, acz mniejszy o pół cala od swego kolegi i przyjaciela, pociesza się za to znaczniejszą korpulencją, waży bowiem 280 funtów i cieszy się 47 calami obwodu w piersiach.

Drogi żelazne amerykańskie, pod względem szybkości i sprawności, są przedmiotem podziwu i zazdrości nawet dla anglików. Przewagę kolei amerykańskich nad angielskiemi co do punktualności anglicy przypisują używaniu olbrzymich wagonów; w ten sposób zmniejsza się liczbę wysyłanych pociągów i zajmuje mniejszą ilość linij stacyjnych.

Linia kolejowa »Midland« przywozi do Londynu dziennie około 10.000 ton węgla, tj. 25 pociągów; na »Pensylwania Railroad« lub »New-York-Central« wystarczyłoby 6—7 pociągów, dzięki używanym tam 30-tonowym wagonom (w Europie używają się 10 tonnowe, tj 600-pudowe i 12-tonnowe, tj. 750-pudowe wagony).

Pociągi składają się z 60—70 takich wagonów ładunkowych, a prowadzi je zawsze jedna lokomotywa. „Pensylvania Railroad« ma nawet powiększyć ładunek wagonu do 50 ton. Do prowadzenia podobnych pociągów zbudowano nowe lokomotywy o 8 kołach wodzących, długie pomiędzy buforami na 19 m., o wadze 113 ton. Jedna z takich maszyn może prowadzić pociąg ze 130 ładowych wagonów 30-tonowych. Długość takiego pociąga wynosi 1170 m., tj. więcej niż wiorstę, a ogólna waga 5,212.000 kilogramów.; maximum wagi europejskiej nie przenosi 1.500.000 kilogr. Nowe lokomotywy prowadzą takie olbrzymie pociągi z szybkością 40 km. na godzinę, szybciej, niż pociągi osobowe na naszych kolejach.

W ogóle amerykanie nie obawiają się bardzo ciężkich pociągów. Pociąg pospieszny „Pensylvania Limited« waży 350 ton, a pociągi błyskawiczne o szybkości 80 km. na godzinę, ważą powyżej 500 ton.

Wójt dziadowski. Za dawnych czasów, żebracy mieli swój cech, swego starszego, podstarszego i skarbnika. Starszego nazywano wójtem, a była to osoba nie lada ważna dla dziadów. W tej okolicy, nad którą go ustanowiono (co czynili sami dziadowie za pomocą wyborów), każdy żebrak, czy żebraczka musieli go słuchać. On przeznaczał, gdzie które z nich może zbierać jałmużnę, a niech się znalazł nieposłuszny, który się wcisnął w nieswoje miejsce, miał się z pyszna! Kto chciał należeć do cechu dziadowskiego, musiał wpisowe skarbnikowi złożyć, wkupić się: wtedy dopiero wójt pozwalał mu chodzić w swojej gminie i wskazywał gdzie. O cechach dziadowskich dawno nie było słychać, dopiero teraz dowiedziano się, że taki

cech istnieje w Kłodawie, miasteczku w gubernii kaliskiej. Wójt dziadów kłodawskich ma się podobno bardzo dobrze. Jeździ po żebraniem z kobietą swoją, własnym wózkiem. Corocznie dąży na odpust do Częstochowy, a zawsze sporo grosza przywozi. — Źle robią ludzie, gdy wspomagają żebrzących z próżniactwa. Szlachetne jest uczucie miłosierdzia, przez Boga nakazane, ale zawsze trzeba miarkować: komu, co i jak się daje. Przyjdzie do ciebie po prośbie żebrak nie ślepy, powiedz mu: »Dobrze bracie, obdarzę cię, nakarmię, obdarzę na drogę, ale zarób«. I zadać mu jaką robotę stosownie do wieku i sił. Chociażby pierza nadarł, izbę zamiótł, czy coś podobnego. Gdyby tak ludzie robili, żebraków nie byłoby wcale. Ale gdy jednemu dajesz jałmużnę za nic, byle rękę wyciągnął, drugi i trzeci widząc to, myśli sobie: »A po co ja mam się mozolić i siły targać? Zamarmotam pokornym głosem i dadzą mi jadła w bród, jeszcze na drogę groszaka w garść wezmę«. Dlatego to włóczy się tylu żebraków, dlatego ludzie porzucają pracę i uczciwe życie, a żyjąc w próżniactwie, wychodzą na pijaków i zbereźników.

Przyrost ludności miast. Na całym świecie miasta powiększają się kosztem wsi, lecz ogólnie mało znanym jest fakt, podany niedawno do wiadomości publicznej przez p. Ripley, że większość miast europejskich rośnie szybciej, aniżeli miasta amerykańskie. Berlin prześcignął New-York; przez przeciąg 21 lat ludność jego powiększyła się tak, jak ludność Chicaga, a dwa razy więcej, aniżeli ludność Filadelfii. Hamburg zyskał dwa razy tylo mieszkańców co Boston, licząc od roku 1875. Stokholm podwoił swą ludność, Kopenhaga powiększyła się $2\frac{1}{2}$ raza, Chrystjania zaś potroiła liczbę swych mieszkańców przez przeciąg trwania jednego pokolenia. Ludność Rzymu w roku 1860 wynosiła 184.000 mieszkańców, w 1895 miał on ich 450.000. Ludność Wiednia, licząc i przedmieścia potroiła się w tym samym czasie. Na Paryż od roku 1881 do 1891 przypada $\frac{4}{5}$ ogólnego przyrostu ludności Francji. W Anglii, więcej niż połowa miast, liczących przeszło 25.000 mieszkańców powstała w wieku XIX-ym; z liczby 105 miast 60 powstało dopiero w 1825 r. 8% mieszkańców miast są dziećmi mieszczuchów, jeżeli za takich uważać będziemy ludzi mieszkających w mieście przez trzy pokolenia. W Londynie i w Paryżu przybysze stanowią więcej, niż $\frac{1}{9}$ część ludności. W 40 miastach głównych Europy tylko, $\frac{1}{5}$ część przyrostu ludności przypada na mieszkańców miast.

Teatr — literatura — sztuka.

Sporo rzeczy nagromadziło nam się na sznurek kroniki teatralnej. Nie są to wprawdzie perły do wiązania, ale na dzisiejsze ciężkie czasy, które przeżywa literatura dramatyczna, trzeba się zadowolić tem, co jest, bo to, co jest, dlatego jest, że nic lepszego być nie może...

A więc najprzód dramat — to mu się należy z wieku i urzędu, chociaż, i wiek, i urząd podgryzane są przez lekką muzę, a to nie tylko u nas, lecz i na całej linji europejskiej.

Przedewszystkiem, duży dodatni ruch w naszym repertuarze dramatycznym zawdzięczać należy nie tylko dyrekcji, której praca i działalność w tym kierunku godna ze wszechmiar uznania, lecz również sprężystości, energji i znajomości rzeczy obecnej reżyserji, która spoczywa w dzielnych rękach p. Walewskiego.

W tym ruchu repertuarowym odgrywają pewną dodatnią rolę wznowienia, które pod pewnym względem mogą nawet uchodzić za *premiery*, bo sztuki te oddawna nie były grane na naszej scenie, a posiadając rzeczywistą wartość literacką i artystyczną stanowią, że się tak wyrazimy żelazny fundusz każdego repertuaru w wszystkich większych teatrach.

Do takich należy *Skąpiec* Moliera, a gdy do tego dodamy, że tytułową rolę w tej sztuce gra p. Fiszer, to pod względem aktorskim rzecz sama nabiera istotnej i dużej wartości. Reszta ról o pewnej stylowości obsadzona takimi siłami jak: pp. Woleński, Siennicka, Gostyńska, Czaplińska, Walewski, Wostrowski i inni, oprócz małych niedomagań, które wynikają z odwyknienia artystów od sztuk klasycznych, nie pozostawiają nic do życzenia.

Wznowiony również *Wilhelm Tell* Schillera, którego tytułowa rola należy do popisowych ról p. Woleńskiego, należy zapisać na pokaźny *plus* dla dyrekcji i reżyserji.

Dawno nie grana, a głośna kiedyś komedja Wiktoryna Sardou: *Nasi najserdeczniejsi*, dała sposobność p. Fiszerowi, jako Caussad'owi i p. Chmielińskiemu, jako dr. homeopacie rezonerowi sposobność do wykazania najpiękniejszych zalet ich talentów.

Szczupłość miejsca i do tego w piśmie nie codziennem nie pozwala nam na szerszą ocenę gry innych artystów — musimy więc poprzestać na tym ogólniku, że sztuka pamiętająca dobre czasy na lwowskiej scenie grą i przygotowaniem nie tylko je przypominała, ale nie odskakiwała od nich ujemnie całą fakturą artystyczną.

Do wznowień również zaliczyć należy dawno u nas nie graną komedję Blizińskiego *Szach mat* czyli *Karjerowicz*. Ale wznowienie to spotkało się z wielką premierą artystyczną, bo z 25-letnim jubileuszem p. Gostyńskiej. To było prawdziwe święto i tryjumf dla artystki, która rzetelną pracą, wielkim talentem i zacnym charakterem zapisała się złotemi zgłoskami w sercu i pamięci szerokiej lwowskiej publiczności, a zapisałaby się tak wszędzie, gdyby gdziekolwiek dwadzieścia pięć lat najpiękniejszych spędziła i pracowała.

To też, choć powyższa komedja należy do najsłabszych prac Blizińskiego i jest rzeczywiście słabą, publiczność zapełniła szczelnie teatr, zniosła mnóstwo kwiatów do stóp artystki, obsypała ją oklaskami aż pod strop teatralny, a dyrekcja, koledzy i koleżanki dwoma wspaniałymi srebrnymi wieńcami dali wyraz uwielbienia dla talentu i charakteru jubilatki, przyczem jeden z panów dyrektorów p. dr. Bandrowski w podniosłych i głębszą myślą nacechowanych słowach przemówił do artystki, a p. Cichocka szczerą mową od towarzyszy i towarzyszek pracy rozrzewniła ją do łez, przez które z całą skromnością i prostotą przy otwartej scenie odpowiedziała jubilatka.

Po przedstawieniu p. dyrektor Heller w swoich apartamentach wydał bankiet na cześć jubilatki, na który oprócz całego niemal personelu teatralnego, zaproszonych było kilkanaście osób z poza teatru przeważnie ze świata dziennikarsko-literackiego.

Na tym bankiecie, który się przeciągnął do późnej nocy, przedewszystkim widniała szczera gościnność gospodarza. Kolacja była suta, a wino lało się strumieniami i gineło, jak w otchłani w sztucznem czy naturalnem pragnieniu gości. Toastów było kilka, naturalnie okolicznościowe, które obracały się wszystkie około jubilatki. Wyróżniły się z nich dwa dyr. Bandrowskiego i Hellera. Ostatni improwizował bardzo dowcipnie wierszem.

Dzień ten zapisze sobie niezawodnie p. Gostyńska w pamięci, a jak dożyje złotego wesela ze sztuką, co jej z całego serca życzymy, to tem bardziej ten srebrny jubileusz przypomni jej także... złote czasy, bo procent od srebra zwłaszcza też na polu uczciwej i utalentowanej pracy, zamienia się zawsze na złoto...

Zaklęty zamek, taki jest tytuł operetki Millöckera, którą w tym czasie po raz pierwszy na scenie lwowskiej przedstawiono. Jest to utwór nieco dawniejszy, więc obfity w melodję, chociaż należy do słabszych tego utalentowanego i popularnego kompozytora lekkiej muzy. Barwny jest i najbardziej melodyjny akt drugi — gdzie się dzieje rzecz, właśnie w tym zaklętym zamku. Akt ten potrzebuje wystawy, kostiumów i baletu — to też dyrekcja wyposażyła go w to wszystko po europejsku również, jak i całą operetkę odegraną z tym aplombem i werwą, które zawsze cechują naszych artystów, a wśród których oklaskiwani byli pp. Bohussówna, Kliszewska, Bronikowska, Miłowska, Myszkowski, Lelewicz, Bogucki i Orzelski.

Część baletową wykonywa się w tej operetce efektownie i z całą brawurą choreograficzną.

Zaza, jest to sztuka francuska, do spółki zrobiona przez pp. Berton'a i Simona. Firma autorska mało znana. *Zaza* jest w 5. aktach, które bardzo łatwo mogłyby być zredukowane do trzech i sztuka zyskałaby na tem. *Zazie* brak, przedewszystkiem, istotnej oryginalności i świeżości w przeprowadzeniu, a za to pełno, aż za pełno pornograficznego liryzmu upadłej kobiety, która, ostatecznie rehabilituje się na funduszach starego barona... To, co mówi i robi Zaza nie może wzbudzić w nikim współczucia — nie można się, nawet, nad nią litować.

Zaza obleciała, jednak, sceny europejskie z wyjątkiem tych, gdzie została zakazaną, bo i to było, jak np. w Rosji — obleciała dlatego, że chociaż pod względem literackim i artystycznym niema wartości — jednak posiada tę bezczelność ludzi małych, którzy umieją wrzeszczeć i skakać do oczów w lansadach i piruetach.

W *Zazie*, niema, ani jednej postaci, którejby nie było w całych tuzinach sztuk przed laty napisanych i wystawionych, a akt pierwszy, za teatralnemi kulisami, przypominał już operetki, w których materjał ten oddawna został zużytkowany.

Tylko, że u nas, właśnie ten akt pierwszy jest wyreżyserowany i grany z taką brawurą aktorską i tak doskonale, że sama gra rozbijająca się w strumyki wartkie i spływające w burzliwą całość, imponuje artystycznością, porywającym mechanizmem scenicznym i mimo epozodzików, wspaniałą całością aktorskiej roboty.

Krytyka literacka i artystyczna, naprawdę powiedziawszy niema się w *Zazie* o co zaczepić, a jeśliby chciała to spróbować, to oberwie się, bo ta cała artystyczna i literacka tualeta *Zazy* zbutwiała bardzo...

Oprócz pp. Gostyńskiej i Fiszera, którzy trochę większe i trochę wydatniejsze role mieli, choć strasznie zużyte w pomyśle autorskim — wszystkie, z wyjątkiem, naturalnie, tytułowej, same epizody, oczywiście grane u nas doskonale przez pp. Kwiecińską, Czaplińską, Feldmana, Walewskiego, Kliszewskiego, Nowackiego, Jaworskiego i Kwiatkiewicza. Drobne epizodziki również bardzo starannie, grali pp. Nałęczówna, Rybicka, Ogińska i mała panienka Zielińska.

Zazą była pani Stachowiczowa. Jeśli mam prawdę powiedzieć, dobrze się stało, że, właśnie, pani Stachowiczowa, grała tę rolę — uszlachetniła ją, bowiem, w grze pewną powściągliwością artystyczną i miarą, co samą postać uratowało od efektów wybiegających naturą swoją daleko poza dozwolone granice naturalizmu scenicznego...

Właśnie dlatego, gra p. Stachowiczowej jest subtelna i w piękne ramy artystyczne oprawiona, choć samą postać autorowie zlepili z reminiscencyj nakreślonych w całych tuzinach ze sztuk ogranych na wszystkich scenach.

W nawale nowości repertuarowych bylibyśmy zapomnieli o *Idealnej żonie*. Jest ona przyrodnią siostrą *Zazy*, tylko, że autoramentu włoskiego, choć z daleko chłodniejszym cynizmem uprawia wolną miłość w rodzinie. *Zaza* jest kobietą wykolejoną z rodziny, *Idealna żona* wkoleiła się w rodzinę, aby w niej wykolejać wszystko — obydwie zaś te sztuki, jako dzieła autorskie są równe sobie pod względem mierności literackiej, a nawet *Idealna żona* ma w sobie coś anemicznie dramatycznego.

Grała tę żonę pani Siennicka. Przedewszystkiem imponowała toaletami — co do gry, powiedziałbym, jest w pewnym kierunku przeczulona, choć pomysłowości aktorskiej w tem dużo, a artyzmu, czasami zbyt brutalnego, jeszcze więcej.

Trzy jeszcze role, zupełnie bezbarwne: mąż, kochanek żony i jego doradca — dają trochę pola do gadania, a nie grania, a p. Wostrowski, który był kochankiem żony, oczywiście swego przyjaciela, prawie nic nie gadał. Pp. Chmieliński i Hierowski: pierwszy z męża, drugi z przyjaciela kochanka, po trochu rezonera — robili, co mogli, ale pocić się nie potrzebowali.

Słówko ogólne. Rok ubiegły skończył się dla dyrekcji teatru lwowskiego pod nader pomyślnemi widokami. Teatr na wszystkich przedstawieniach zapełniony po brzegi, kasa, co zatem idzie pełna, a publiczność zadowolona i w różowych humorach. Dziennikarstwo lwowskie, jak wiadomo, więcej skłonne do ganienia jak chwalenia, schowało szpadę w powchwę i, jeśli ją wyciągnęło, to tylko dlatego, aby sprezentować przed zbożną pracą dyrekcji, reżyserji i artystów... Jednem słowem, odwróciło się na lepsze i jest dobrze. Daj Boże będzie jeszcze lepiej!..

Dyrekcja wziąwszy sobie do pomocy dzielnego reżysera w osobie p. Adolfa Walewskiego, zbiera obfite plony na polu artystycznem i kasowem. Pan Walewski zaś, artysta wykształcony wszechstronnie, który, zresztą, jako autor wykazał dobitnie swoje prawdziwe literackie zdolności, taktem koleżeńskim, wytrawną znajomością stosunków teatralnych, niezwykłem oczytaniem, zamiłowaniem, zawodu i bystre znajomością rzeczy — zdobył sobie zaufania dyrekcji, uznania publiczności i życzliwości kolegów... Niechże tak wszystko płynie dalej, a dopłyniemy do... zobaczymy — jeszcze lądu nie widać!..

Przez kilka dni przed świątecznych i świątecznych, gościł we Lwowie stanisławowski teatr »Wodewil« i pod dyrekcją pp. Grodzickiego i Powiadowskiego dawał przedstawienia w sali »Sokoła«.

Towarzystwo »Wodewilu«, pod względem sił aktorskich przedstawia się skromnie, ale zwarto i z pewną energją artystyczną, choć nie zawsze jednolitą. Nie było zresztą sposobności, ocenić różnostronności talentów tej trupy, bo grała tylko jedną, jedyną sztukę ludową *Królową przedmieścia* młodego autora p. Krumłowskiego. Sztuka naiwna, pełna błędów scenicznych, miejscami niezdarna aż do bezsensów, posiada, jednak, typy lokalne z niższych warstw społeczeństwa dobrze pochwycone i grubo, ale zamaszyście rysowane. Okrasą jej jest pomysłowa, i wcale oryginalna muzyka p. Powiadowskiego szczególniej polka: »Rach ciach — ciach« odznacza się typową i energiczną melodją. Suma sumarum towarzystwo »Wodewil« rozwijając się dalej może i powinno oddać rzetelne usługi sztuce polskiej na prowincji, czego się po niem spodziewamy.

Od dłuższego czasu we Lwowie istnieje szkoła dramatyczna i deklamacji pod dyrekcją p. Stanisława Konopki. W tym czasie mielismy sposobność, na popisie szkoły tej, przyjrzeć się bliżej pedagogicznej pracy jej dyrektora. Egzamin na estradzie publicznej wypadł ze wszech miar dodatnio. W tem co mówili i grali uczniowie widać było umiejętną, zdolną i fachową rękę nauczyciela. Szkoda, że szkoła p. Konopki za mało ma poparcia tam, gdzie go mieć powinna, a w naszych stosunkach, poparcie to byłoby bardzo pożądane, bo p. Konopka pracuje rzetelnie i pożytecznie, przygotowując nietylko przyszłych adeptów sceny, lecz i do innych zawodów publicznych opierających się o wymowę jak kaznodziejstwo, adwokatura i t. d.

Z przyjemnością i z obowiązku zwracamy uwagę na zakład p. Stanisława Konopki, mający, zresztą, u nas ustaloną i zasłużoną reputację.

Praktyczne wiadomości.

Usuwanie wilgoci ze ścian. Równe ilości stearyny i sody gryzącej (wodorotlenku sodowego) topi się razem z dodatkiem niewielkiej ilości kwasu octowego i salicylowego. Mieszanina ta tworzy rodzaj mydła antyseptycznego a zarazem wstrzymującego wilgoć, którem naciera się na ciepło:, o ile możności w suchym dniu, wewnętrzną stronę murów. W celu zobojętnienia przykrej woni mydła, można doń dodać trochę kwasu karbolowego. Gdy pierwsze natarcie wyschnie, smaruje się ścianę po raz drugi, dodając do mieszaniny rozcieńczony roztwór ałunu, lub chloranu potasowego i kwasu salicylowego w wodzie. Ściany pokryte w ten sposób nie zmieniają w niczem swego wyglądu, a przed wsiąkaniem wody są supełnie zabezpieczone.

Przechowanie owoców w ściółce torfowej. Wedle doświadczeń, zrobionych przez Sternberga z Lipstadt, można użyć z wielką korzyścią do opakowania gruszek i jabłek podścielu torfowego, przyczem jest rzeczą zupełnie obojętną, czy owoce będą obwijane w cienki papier, czy też wprost bez obwijania układane w torfie. W tym ostatnim przypadku owoce nie nabierały podczas przechowania żadnego niemiłego smaku i zachowywały jak najlepiej swój właściwy aromat. Owoce przechowane w torfie konserwowały się bez zepsucia znacznie dłużej, niż układane w tym samym składzie luźno na półkach. Na spód beczek sypano warstwę 5 cm. grubą włóknistego torfu i układano warstwami owoce, każdą warstwę przesypując torfem. Do opakowania dwóch centnarów owoców zużywano około 40 funtów suchego prósza torfowego.

Przewrót w sztuce garbowania skór zapowiada wynaleziona przez braci Durio w Turynie nowa metoda garbarska. Metoda ta została już opatentowana we wszystkich państwach europejskich, a w Belgii utworzyło się już Towarzystwo z 4 milionami kapitału zakładowego, dla eksploatacyi tego doniosłego wynalazku. Polega on na poddaniu skór działaniu pewnych preparatów chemicznych, a zalety jego są następujące: proces garbowania skraca się do 48 godzin, zamiast dotychczasowych 6—12 miesięcy; koszta o wiele się zmniejszają, kapitał obrotowy zmniejsza się do minimum; wyborny gatunek produktów pozwala na zwycięzką konkurencję z dotychczasowym systemem. W Niemczech niebawem utworzy się konsorcjum dla zreformowania istniejących garbarni.

Łatwy sposób odróżnienia gołębia od gołębicy. Bierze się gołębia za skrzydła, trzyma się w ten sposób, że grzbiet ma zwrócony na dół i wstrząsa, Samiec w ten sposób traktowany zaczyna zwykle z wielkiem zaniepokojeniem gurgotać, samica zaś trwożliwe wciąga głowę i siedzi cicho.

Przyrządzanie szynek. Znawca niemiecki Dohöf daje takie przestrogi pod względem przyrządzania szynek. Szynka z wieprza karmionego odpadkami browarów i zakładów mlecznych, potrzebuje większej ilości przypraw w rodzaju saletry itp. Nie należy się z soleniem spieszyć, aż mięso wywietrzeje. Wędzić należy szynki tylko należycie tj. równo posolone. Stosuje się to szczególnie do przechowania szynek, w większej ilości składanych do beczek i przeznaczonych na sprzedaż z wysyłką w dalsze strony. Jeżeli np. nie wszystkie szynki złożone do beczki oblewa rosół, to wierzchnie, pomimo późniejszego wędzenia muszą się popsuć, albo przynajmniej stracą na smaku. Również, jeżeli górne denko nie dochodzi ściśle i przepuszcza powietrze, to gromadzi się u wierzchu brudny osad, szczególnie w porze silnych zmian powietrza na wiosnę i na jesieni. Należy także uważać, żeby rosół należycie wsiąkał w szynki, inaczej większe mogą psuć się w środku. Widać już z tego, gdy nadkrajane mają kolor sinawy, szarawy. Beczki przed układaniem świeżych szynek, należy starannie wyparzyć, gdyż pozostałości dawniejszego rosołu powodują psucie świeżego Prósze używane do wędzenia szynek powinno być dobrze wysuszone, w przeciwnym razie, zwłaszcza przy pospiesznem wędzeniu, szynki gorzkną. Niesmaczne są także szynki, choć dobrze przyrządzone, ale pochodzące od wieprzów źle zabijanych, np. zbyt silnie rozgrzanych przy rzeźi. Przestrogi te dotyczą zresztą w ogóle wszelkich wędlin i solonek.

Od Redakcji i Administracji.

Panów prenumeratorów w Ameryce, zalegających w prenumeracie zawiadamiamy, że jéśli w jak najkrótszym czasie nie odeszlą kwot, które są dłużni, upominać się będziemy publicznie drukiem, przez pisma polskie amerykańskie, które ze względu na solidarność, nie odmówią nam, swej pomocy,

Wola. Nie do druku.

Z. w Paryżu. My się takiemi sprawami nie zajmujemy.

Ciocia. Wierszyk nie zgorszy, ale myśl sama banalna — może co innego?

Luba. Wcale ładne — prosimy!

W. V. w Chicago. Prosimy czytać powyżej umieszczoną apostrofę. Rodacy w Ameryce, co do prenumeraty, bardzo często przez oceany, wyprowadzają redakcje polskie w pole.

L. w Konstantynopolu Jest w tamtejszej czytelni polskiej, czy towarzystwie.

Autorowie wierszy: „Do...,“ „Hej do celu“, „Gołębie sercowe“, „Aqua vita“, i „Tuj — tuj“ — utwory panów drukowane nie będą.

Ulica Batorego l. 2.

Handel towarów korzennych.

Delikatesy, wina

i wszelkie towary korzenne

Leonard Solecki

poleca

z najlepszych źródeł

i najlepszej jakości

po jak najtańszych cenach. (7276-8-1)

Handel towarów korzennych.

Ulica Batorego l. 2.

Węgle

WĘGLE

Węgle

Galicyjskie akc. Tow. handlowe

Lwów, ul. Jagiellońska l. 3.

Dostarcza do wszystkich stacyj kolejowych węgle z pierwszorzędnych kopalń dla gorzelń, młynów, browarów, lokomobil etc.

po najumiarkowańszych cenach.

We Lwowie odstawia na opał mieszkań węgle kostkowe salonowe płukane, najlepszej jakości, w workach plombowanych po 50 kl.

Dla klasztorów i zakładów dobroczynnych ceny wyjątkowe. (7277—6—1).

! Najwyborniejszych !

Pół Kl. Cukrów deserowych zł. 1.20.
Pół Kl. biskwitów angielskich i herbatnikóków zł. 1. —

oraz

CZEKOLADĘ I KAKAO

w różnych gatunkach

poleca

H. TRETER

właściciel parowej fabryki czekolady.

Lwów,

plac Marjacki l. 7. róg ul. Kopernika.

Wyroby powyższe zostały odszczególnione na wystawie krajowej we Lwowie najwyższą nagrodą **medalem złotym,** nie można ich zatem równać z lichemi naśladownictwami

(7284-7-1]

Handel towarów korzennych

Edwarda Kulesińskiego

w Borszczowie

poleca

wszelkie towary, w zakres tego interesu wchodzące, po umiarkowanych cenach i jak najlepszej jakości. Pokój do śniadań (7288—6—1).

Handel korzenny

wiktuałów, delikatesów i win

połączony

z pokojem do śniadań

ANTONIEGO HANNAKA

Czerniowce, ul. Główna 14

poleca

wszelkie towary korzenne, wiktuały i delikatesy. Handel mój zaopatrzyłem również w wszelkie gatunki wiktuałów, które do użytku domowego i kuchennego są potrzebne. Czekolady z pierwszorzędnych firm, wyśmienite gatunki kaw i herbat chińskich i rosyjskich. Owoców południowych, delikatesów, marynat i konserw. Wina węgierskie, austryackie, rumuńskie, reńskie, hiszpańskie i szampańskie, Rosolisy, Koniak francuski i węgierski, Rumy z Jamaiki i Bremen.

Mając długoletnią praktykę z pierwszorzędnych domów handlowych i odpowiedni kapitał, dają mi możność tak umiarkowaną ceną, jakoteż doborowym towarem i rzetelną obsługą zadowolnić pod każdym względem Szan. P. T. Publiczność.

Zamówienia zamiejscowe uskuteczniam odwrotną pocztą nie licząc [7286-4-1] **opakowania.**

Telefon Nr. 390.

H. Dattnera

ul. Grodecka 3 a
I. piętro.

Biuro

Pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu

we Lwowie ul. Gródecka 3. a

poleca do wszystkich stacyj wagonami **najlepszy węgiel górnośląski** dla fabryk, gorzelń, młynów parowych, cegielń i t. p.

jakoteż

Węgiel salonowy do opalania pieców i kaloryferów

z dostawą do domu

po cenach umiarkowanych.

Własne składy: we Lwowie i na dworcu kolejowym.

Adres dla listów i telegramów:

Dattner Lwów. (7270-4-)2.

Wyrabiane od roku 1882

odznaczone medalem srebrnym na wystawie hygieniczno-lekarskiej we Lwowie w roku 1888.

zaszczycone odszczególniającemi świadectwawi i polecone przez największe znakomitości lekarskie jak:

Dr C. von Brauna, prof. dr. Draschego, dr. Lorinzera z **Wiednia**, dr. Biesiadeckiego, dr. Jandę, dr. Weigla, dr. Widmanna, dr. Edwarda Sawickiego, dr. Ziembickiego ze **Lwowa** prof. dr. Korczyńskiego i prof. dra Jakubowskiego z **Krakowa**, c. k. radcy sanitarnego prymaryusza dra Wolana, dra Strzeleckiego, dra Stockiocwa w **Czerniowcach** i wielu innych.

WINA LECZNICZE

aptekarza Karola Mikolascha we Lwowie

w ćwierć litrowych flaszkach z kieliszkiem jak:

Wino chinowe zł. 1·50 — Wino chinowo-żelaziste zł. 1 50 — Wino rzewieniowe (rumbarbarowe) zł. 1·50 — Wino pepsynowe zł. 1·50 — Wino peptonowe zł. 1·50 — Wino Condurango zł. 1·50.

Główny skład na Galicję w aptece PIOTRA MIKOLASCHA we Lwowie.

We Lwowie i na prowincji we wszystkich renomowanych aptekach. Skład główny **w Krakowie** u pana *Gralewskiego*, aptekarza. **We Wiedniu dla Austrji. Węgier** i państw ościennych u p. W. Magera, III. Heumart. 3. [7199-6-1].

Wystrzegać się naśladownictw i podrabiań bacząc na markę ochronną i — na własnoręczny podpis, do każdej flaszki dołączony.

ANTONI ENDERS

we Lwowie Rynek l. 26

poleca:

w największym wyborze

po cenach najniższych

Towary drobiazgowe

i przybory do

krawieczyzny damskiej,

Hafty zaczęte

i ukończone na KANWIE,

suknie i jedwabiu,

Włóczki, filoselę filoflos, kordonki i sznelki do haftu.

Najlepsze struny

do wszystkich instrumentów.

(7267-6-2)

Jan Nowak

w Zaleszczykach

poleca

towary korzenne, delikatesy i wina.

Wyłączna sprzedaż po cenach fabrycznych

koniaku hr. Esterhazego

po następujących cenach:

1/2 Fl. 0 90 1·— 1·25 1·50
1/1 Fl. 1·50 1·80 2·20 2·75

Artykuły kancelaryjne, Bielizna męska i damska, Krawaty, Mydła i Perfumerya.

Skład fabryczny prawdziwych tutek cygaretowych.

Wszelkie zamówienia odwrotną pocztą. (7285-4-1)

Znane z dobroci i rzetelności także po za granicami kraju c. k. uprzyw. Fabryk przędzalń i tkanin

FILIPA HAAS i SYNÓW

Filja we Lwowie, przy ul. Jagiellońskiej l. 3.

poleca wyroby własne jak:

Nowości wszelkiego rodzaju **w materjach meblowych, Dywanach Firankach** białych i kremowych, **Portierach materjalnych Kapach, Serwetach Kołderkach** flanelowych, chodnikach, **Tapetach** i tp. Towar doborowo przedni, ceny przystępne, o czem Szanowna P. T. Publiczność osobiście przekonać się raczy. (7216 8-6).

Osobliwości w **Dywanach** perskich, smyrneńskich, także czysto stylowanych ręcznie wiązanych (Knüpteuteppiche) wyrób własny — w wielkim wyborze po stałych cenach fabrycznych. Dla towarów wysortowanych i resztek, cena do połowy zredukowana.

Illustrowane cenniki na żądanie franko wysela się.

Wyrób krajowy

tektur introligatorskich

Papieru pakunkowego, ręcznego i maszynowego

z FABRYKI

BERLA SEKLERA w FUJNIE.

Główny skład w handlu korzennym

Lwów,

ul. Wałowa liczba 15.

(7266 2-2)

Józef Tillinger

introligator we Lwowie

na ulicy Karola Ludwika l. 5

poleca swoją:

pracownię introligatorsko-galanteryjną

i wykonuje wszelkie roboty w zakres introligatorstwa wchodzące

mianowicie:

teki na dyplomy aksamitne i skórzane i wszelkie inne oprawy książek od najskromniejszych do najwykwintniejszych, w większych ilościach znacznie taniej wszelkie broszury oblicza tak, że śmiało może konkurować z zagranicą.

Ręcząc za dobroć materjału i wykończenie, uprasza o najliczniejsze zamówienia. (6946-st.-15).